

List do wnuka

Kochany Szymku!

Kiedy miałam jedenaście lat, w 1941 roku zaczęła się II wojna światowa. W państwie, w którym mieszkałam nazywała się ona Wielką Wojną Ojczyźnianą, a państwem tym był ZSRR – Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich. Wojnę tę rozpoczęli Niemcy, na których czele stał Hitler. I właśnie minęło 65 lat od jej zwycięskiego zakończenia. Zwycięstwo to świętują dziś ci, których ona dotknęła. Mimo że Twoja Babcia już niedługo, jeśli Bóg pozwoli, skończy osiemdziesiąt lat, to pamięta całą wojnę. Tatę zabrali do wojska w pierwszych dniach wojny, a już niedługo nasza rodzina, Mama, Miła i ja musiałyśmy się ewakuować. O Tacie ludzie myśleli, że był w partii, chociaż on do partii nie należał. Dlatego też pozostawać przy Niemcach, a za niedługo zajęli oni Krym, było niebezpiecznie. Ewakuacja dotknęła nas, podobnie jak i inne rodziny. Droga była daleka: pociąg, prom, statek, pociąg. Przywieźli nas na Kubań. Zobacz na mapie, gdzie to jest. Ale i tu nie udało się uciec od Niemców. Niedługo potem rozstrzelali Żydów. Baliśmy się, że i na nas przyjdzie pora. Mieszkaliśmy w stancy (niewielkie miasteczko). Do przyjscia Niemców (byliśmy pod ich okupacją pięć miesięcy) mama pracowała w kolchozie. Przywieziono ją na pole i kazano zbierać kartofle. Ona pyta się: „A gdzie one są?”. Odpowiadają jej: „No, tutaj”. Mama, człowiek z miasta, nie wiedziała, że kartofle rosną w ziemi, a nie na krzakach. Nasi odeszli, Niemcy jeszcze nie przyszli. W stancy nie było władzy. Żeby produkcja nie trafiła w ręce wroga, w fabryce olejów otworzyli zawory i olej płynął rzeką. Nabraliśmy do butli, ale niestety do środka wpadła mysz. I czegokolwiek by mama z niego nie robiła, ja tego nie jadłam. Ukradłam wełnę wielbłądzia. Była cudowna: miękka, beżowa. A my nieubrani, bo nic ciepłego z domu nie zabraliśmy. Mówili nam: „Jedziecie na miesiąc”. I czegoż to z tej wełny nie można było zrobić! Ale właśnie przyszli Niemcy i kazali wszystko zwrócić pod rygorem rozstrzelania. Ach, wzięłam jeszcze i siarkę. Robiliśmy samodzielnie zapałki. Jednak by można było z nich wydobyć ogień, trzeba było krzesiwem (z kawałka żelaza) wykrzesać z kamienia iskrę. Przypominam sobie pewną wycieczkę, którą zrobiłyśmy sobie z koleżankami: poszłyśmy, głupie, do miejsca, gdzie Niemcy rozstrzelali Żydów. Minęło tyle czasu, lecz jeszcze dziś straszne są wspomnienia zdziczałych od padliny psów, które goniły za nami. Omal nas nie do-

padły. Po zimie, wiosną, polana ta była gęsto zarośnięta dojrzałymi, czerwonymi poziomkami. Cierpieliśmy od wszy na głowie i na ciele. I wieczorami mama przy kaganku (talerzyk z olejem z knotem z waty) przeglądała nasze ubrania, w szwach było pełno insektów. Moje długie do kolan warkocze trzeba było obciąć. Mydła nie mieliśmy. Głowy myliśmy ługiem zrobionym z popiołu.

Rok szkolny przepadł nam przez okupację. Ubrań i obuwia nie było. Znalazłam gdzieś podeszwę od męskich płóciennych butów, przykładając ją do nogi, obwiązywałam sznurkiem i tak chodziłam. Miałyśmy jeden żołnierski koc. Nocą przykrywałyśmy się nim, a w ciągu dnia zakładałam go na siebie, gdy szłam do szkoły. Tam też było zimno, zamarzał atrament i pozwolili mi podkładać nogi pod siebie. Atrament robiłam z dzikiego bzu – to takie czarne dzikie jagody. Piórem było pióro kury. Pisałam w zeszytach z gazety pomiędzy drukowanymi wierszami. Podręczników nie było. Musieliśmy zapamiętywać to, co mówił nauczyciel. A jednak w zeszytach miałam same piątki. Tym się muszę pochwalić.

Mieszkania zmienialiśmy stosunkowo często. Listów od taty z frontu nie otrzymywaliśmy bardzo długo. Już nie wiedzieliśmy co myśleć. Jednak mój tatuś walczył przez wszystkie cztery lata wojny i ani razu nie był ranny. Los go chronił i zwrócił nam. Tylko raz był kontuzjowany. Koniec wojny zastał go w Polsce.

Twój pradziadek, Szymku, potrafił bardzo interesująco opowiadać o wojnie, kiedy przyjeżdżał do nas w gości. Pewnego razu zaprosiłam go do szkoły. Opowiadał uczniom wiele interesujących historii. Przypomina mi się jedna z nich: siedział na czołgu (był w piechocie) i jeden młody żołnierz przyczepił się do niego, że zajmuje jego miejsce. Tata nie dyskutował, przesiadł się na inne miejsce. I tego żołnierza trafiła kula. Taki to był los.

Jedzenie nasze, podczas ewakuacji było oczywiście bardzo ograniczone. Cukru nie widzieliśmy przez kilka lat, chleb był na kartki. Mama pracowała w domu dziecka, w kuchni, potem w pralni. Dzieci z domu dziecka miały wełniane swetry. One aż gotowały się od wszy. Wkładali je do pojemników, szczelnie zamykali i gotowali. Wygotowane wszy odcędzali chochlami. Mama wracając z pracy zdejmowała z siebie wszystko na progę, a jednak i tak obdzielała nas wszami. Pamiętam jak mamie sparaliżowało jedną stronę. Położyli ją do szpitala. Sala czysta, ciepła, a w niej dwa łóżka. Od mamy poszłam do domu, musiałam przejść przez

rzeczkę – mostek był oblodzony, miał tylko jedną żerdkę. Idę, boję się, płaczę. Strasznie było też spędzić noc w malutkim pokoiku w szkole podstawowej, w której mieszkaliśmy. Puste klasy, wyjący wiatr i złodzieje, którzy kradli szyby z okien. Pewnego razu zabłądziła do nas sąsiedzka kura. Zakroiliśmy ją i z apetytem jedliśmy cudowny, aromatyczny rosół z kury.

W stancji rezydował oddział wojska. I mama zaczęła tam pracować jako podkuchenna. Żołnierskie zupy były esencjonalne, a kasze cudowne. Po żołnierzach zawsze zostawało. I mama przynosiła nam, rodzinie cioci, u której wówczas mieszkaliśmy (ciocia, siostra mamy) i jeszcze dwóm mieszkającym tam nauczycielkom to żołnierskie jedzenie. Wszystkim bardzo smakowało.

Kochany mój chłopcze, moje myśli nabiegają jedna na drugą... Piszę chaotycznie. Ninuśka radziła mi napisać, a właściwie kontynuować pisanie wspomnień o życiu. A jak Ty myślisz?

Wojna tak okrutna zabrała z mojej rodziny wielu bliskich. Bracia taty: wujek Monia był nauczycielem – zmarł w wyniku otrzymanych ran. Wujek Sasza był stolarzem – zachował się jego dziecienny wałek do ciasta – potem uczył się w Moskwie w Instytucie Wschodoznawstwa, przepadł bez wieści. Brat mamy, mój wujek, zginął na Krymie. Ale największą tragedią dla nas wszystkich była śmierć mego ciotecznego brata Nelika. Zabrali go do wojska z dziewiątej klasy i od razu wysłali na front. Walczył dwa miesiące. Zdążył wysłać matce swoją fotografię – ściągnięta twarz, szynel, pilotka. Zginął na Krymie, w Kerczu. Chyba i Twoja mama, Szymku, jeździła z nami na żołnierską mogiłę, gdzie jest pochowany. Zupełnie jeszcze chłopiec. Powinien się uczyć, bawić, kochać... Ale niczego takiego nie było. Ciocia Nadzia całe życie nosiła po nim żałobę...

Mój drogi, bardzo się cieszę, że mogę się z Tobą podzielić myślami. Jakoś teraz naszły mnie stare wspomnienia. Jak to dobrze, gdy można się nimi z kimś podzielić... Oglądałam właśnie wasze dziecięce fotografie. Jacy wy wszyscy jesteście wspaniali... Niech wasze życie zawsze będzie spokojne. „Zawsze niech będzie słońce. Zawsze niech będzie mama. Zawsze niech będę ja.”

W nocy po napisaniu listu spałam źle – cały czas przeszkadzał mi kalejdoskop wojennych dni. Oto jem polewkę z kołchozowej wspólnej miski, a mama siedzi obok mnie. Oto niesie ona za pazuchą ukradzione ziarna kukurydzy, gdzie w jakiś sposób dostała się mysz, ale mama milczy, by nie zdradzić kradzieży kołchozowego dobra. A tu znów we trzy taszczymy z lasu każda po kłodzie na plecach, żeby w piecu napalić... Widzę smutnych cofających się, głodnych żołnierzy, jednemu z nich

dają chleb, tak jak i inni. Widzę dom, który stał w sąsiedztwie – zapalił się od bomby. Gdzieś chowamy się. Widzę motocykle esesmanów, które z łoskotem wpadają do stancji. Tłumy ludzi, niektórzy machają i witają się. Dziwnie było patrzeć na Niemców nad rzeką, byli w szortach i grali na harmonijkach ustnych. Właśnie Niemiec zaszedł do naszego domu, widać zachęciły go zapachy z mamej kuchni (jeszcze były resztki tego, co mama dostała w kołchozie za przepracowane dniówki, a i olej był, o którym wcześniej pisałam). Mama smażyła pierożki. Niemiec je zjadł. Podałam mu szkolną mapę, żeby pokazał mi, gdzie przebiega linia frontu. Oto zachodzi do nas młoda piękność – Żydówka z dzieckiem przy piersi. Czeka na nią policjant. Wkrótce ona, jak i inni znajdzie się w rowie śmierci.

Pod nasz dom przychodzili śpiewać przy akompaniamencie akordeonu jacyś ludzie. Potem się okazało, że to były spotkania partyzantów. Widzę Żydów z gwiazdami Dawida na rękawach – sprzątają ulice. Trwożna noc przed moimi oczyma: Rumuni¹ mieszkający u nas otrzymali rozkaz odwrotu i wszyscy odchodzą.

Głód soli. Krwawią dziąsła, wypadają zęby. Nic do ust nie wchodzi. Wspominamy Eupatorię, gdzie można byłoby zanurzyć coś w limanie (słone jezioro) i oblizać sól – cóż z tego, że gorzką. Widzę swoją młodszą siostrzyczkę Miłeczkę. Idzie po raz pierwszy do szkoły w rozpadającym się ubraniu i rozpadających się butach.

Niemców już nie ma. Przyciągnięto nas do działalności artystycznej w domu kultury. Śpiewam i tańczę – cygańska pieśń. A chleb dają na kartki, ale niewiele. Mama zaczęła uprawiać warzywa w ogrodzie. Jakoś żyjemy.

Mama wróży ludziom. Wszyscy czekają na wieści z frontu. Mama przy pomocy kart wmawia ludziom nadzieję na spotkanie z mężami i synami. Dają jej za to wiadro kartofli albo coś innego... Krym już wolny, my też. Z rodziną cioci Nadzi wracam do Eupatorii. Przyjechaliśmy, idziemy przez bramę twierdzy. Widzimy naszą babcię Ester, Stirę: siedzi na ławeczce i sprzedaje ziarno. Mama z Miłą przyjechała później – trzeba było sprzedać ogród na pniu, żeby kupić bilety na pociąg. Ale obuwia nie było, więc mama z dalekiej drogi przyjechała bosa. Jakie szczęście, że Tata szybko wrócił. W dzień zwycięstwa wiwatowaliśmy. Ja swą radość przelałam w wiersze, ale już ich nie pamiętam. Chorowałam na dyfteryt, Miła na szkarlatynę. Od mamy wzięli dwie strzykawki krwi dla nas. Ale mi ta krew nie pasowała – całą twarz pokryły ropiejące strupy. Ależ byłam

¹Chodzi o żołnierzy rumuńskich walczących po stronie Niemiec

straszna. W Eupatorii mieszka jeszcze brat mamy, wujek Sienia Szpakowski. Ma 93 lata. Był więźniem Buchenwaldu, pracował przy piecu w krematorium. Sam do niego cudem nie trafił. Składałam mu oczywiście życzenia.

Mieszkała w Eupatorii krewna taty, Sonia Karpienko. Twoja Mama ją znała. Ona przy Niemcach uratowała rannego marynarzyka. Miasto zajęli Niemcy, a sowieckie dowództwo zdecydowało wysłać desant z morza. Wszyscy zginęli, a Niemcy w odwecie wyłapywali mężczyzn i rozstrzelali za miastem na Czerwonej Górze. Komu się udało ukryć, ten przeżył. W studni chował się ojciec Maszy Czeltek, a ojciec Łarika, jej przyrodniego brata, został rozstrzelany. W korytarzu z ciocią Anią Bałdży mieszkał Ewgienij Efet – potem uczył się w Leningradzie. Podczas wojny był komendantem krążownika „Gordyj”. Zginął w boju. Pamiętam go. To był bohater. Obok nas mieszkała rodzina Dawida Paszy. On pracował jako tragarz. Podczas wojny zginął bohatersko – rzucił się z granatem podczołg. Twoja Mama pamięta, jak jeździliśmy na jego mogiłę, a właściwie na żołnierski cmentarz do miasta Okmiany na Litwie. Złożyliśmy tam wieniec od Karaimów litewskich. Jakoś poznałam tam wieniec od Karaimów litewskich. Jakoś poznałam na szkoleniu koleżankę, Teresę, i ona mi opowiedziała, że jako dziewczynka z ojcem uczestniczyła w tym pogrzebie. Ona co roku 9 maja nosi kwiaty na grób Dawida Paszy.

Kiedyś, dawno temu napisałam do eupatoryjskiej gazety „Zdravnica” artykuł, gdzie wspominałam o niej i proponowałam, by ulicę, gdzie mieszkał bohater Dawid Pasza nazwano jego imieniem. Nie zrobiono jednak tego. Jedynie na domu, w którym mieszkał, powieszono pamiątkową tablicę.

W Eupatorii w kienesie (widziałeś oczywiście) wiszą marmurowe tablice poświęcone pamięci tych, którzy odeszli...

A w ostatnich dniach słuchałam konkursu pieśni o wojnie. Nic lepszego, od tego co znam, nie usłyszałam. Jednak jedna pieśń była godna uwagi – „Poświęcona pamięci tych, którzy przepadli bez wieści”.

Ciesz się, mój kochany, że nie musisz służyć w wojsku. I, daj Boże, na świecie będzie spokój. Ciesz się życiem, ucz i ciesz nas swymi osiągnięciami. Dziękuję Ci, że mnie wysłuchałeś.

Całuję
Twoja babcia Lusja
[Ludmiła Juchniewicz z domu Mangubi]
Troki, 2 maja 2010 r.
Z rosyjskiego tłumaczyła Mariola Abkowicz

Historyjki pani Zosi



*Echał z cedrowego drzewa
w Wileńskiej kienesie*

W 1911 r. przystąpiono w Wilnie do budowy *kienisa*. Fotografia uwieczniła uroczyste nabożeństwo i położenie kamienia węgielnego. Wybuchła wojna. Mobilizacja i ewakuacja w głąb Rosji przerzedziły szeregi Karaimów. W Wilnie zostało zaledwie kilka rodzin. Budowę świątyni przerwano. Po wojnie zaczęli powoli wracać rodacy.

Jeszcze nie zdążyli przymierzyć się do budowy świętego przybytku, jak zjawia się w Domu Gminnym stolarz, u którego jeszcze przed wojną zamówiono wyrzeźbienie ołtarza – w tym celu sprowadzono, zgodnie z tradycją biblijną, drzewo cedrowe z Libanu. Przed wojną nie zdążył stolarz przystąpić do pracy, pomimo zawieruchy wojennej, głodu, chłodu, epidemii, częstych rewizji i rekwizycji wszystkiego, co cenne, udało się stolarzowi przechować bezcenny surowiec. Zaskoczenie i zdumienie Karaimów nie miało granic, o szczegółach dotyczących ołtarza wiedziało zaledwie kilku członków Komitetu Budowy, z których jeden tylko w owym czasie był w Wilnie, a i on w swoich najśmielszych marzeniach nie podejrzewał nawet, że cedr mógł przetrwać tyle przeciwności losu.

Zleceniobiorca przyszedł dowiedzieć się na kiedy ma wykonać zamówienie. Tym wspomnieniem, pragnę, choć bezimiennie, złożyć hołd uczciwemu i sumiennemu, obowiązkowemu rzemieślnikowi. Polakowi, katolikowi, który z pełnym poświęceniem w ciężkich i niebezpiecznych warunkach przechował powierzony mu materiał.

Zofia Dubińska